Adam Chase (Stephen Marlowe – Milton Lesser[1])

Dom jest tam skąd pochodzisz

(Home is Where You Left It)

Amazing, February 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

[1] Autorem opowiadania jest Stephen Marlowe, autor który w gatunku SF najbardziej znany jest pod jednym ze swoich pseudonimów literackich Milton Lesser.

Jak wstrętna jest najbardziej ohydna zdrada? Czy najbardziej zatwardziały zdrajca ma prawo do litości? Steve postawił sobie te pytania. Jaka była jego odpowiedź? Że czasami możliwe jest, aby nawet nikczemnik nazwany został bohaterem.

Kiedy Steve Cantwell dotarł do wioski, powitały go jedynie opustoszałe skorupy domów z cegieł z suszonego błota.

Pokręcił się przez chwilę dookoła. Gorąco pustyni było trudne do zniesienia, wręcz palące, a syriańskie słońce rozbłyskiwało złowrogo na łopatach unikoptera Steve'a, którym przyleciał z położonego niemal pięćset mil stąd Oasis City. Ze swojego dzieciństwa, pamiętał ciągle gorąco jakie panowało tutaj, na drugiej planecie Syriusza, na której znajdowała się ziemska kolonia, ale nawet wtedy nie było aż tak gorąco, jak dzisiaj. Czuł się jak w suszarce, wysysającej z jego ciała ostatnie krople wilgoci.

Chodził między budynkami, a na jego wynędzniałej, cierpiącej z powodu gorąca twarzy, odbijały się zaskoczenie i chyba smutek. Wspomnienia z dzieciństwa, wezbrały mu ponownie w myślach: jedyna studnia, z której czerpały wodę wszystkie rodziny, centrum wioskowe, w którym jako chłopiec spędził najszczęśliwsze chwile swojego życia, dom z cegieł z suszonego błota, niewiele różniący się od innych, po prostu cztery ściany i dach. Po tym jak rodzice Steve'a zginęli w ataku *Kumaji*, mieszkał w nim razem z ciotką.

Podszedł do studni i wyciągnął sobie pełne wiadro wody. Korba skrzypiała dokładnie tak, jak to pamiętał. Nagle bardzo spragniony, zaczerpnął wody chochlą i podniósł ją do ust.

Odrzucił chochlę od siebie. Woda była gorzka. Ale nie słonawa.

Zatruta.

Pluł z furią, a potem upadł na kolana i napełnił usta piaskiem, niemal krztusząc się z pośpiechu. Po chwili wypluł również piasek, otworzył swoją manierkę i przepłukał usta. Jego wargi i język były odrętwiałe po kontakcie z trucizną. Przeszedł szybko przez plac, na którym znajdowała się studnia, i ruszył w stronę domu swojej ciotki. W środku panował półmrok, ale było tylko nieco chłodniej. Steve pocił się obficie, spływające do oczu słone krople, zmuszały go do nieustannego mrugania. Popatrzył groźnie, nic nie rozumiejąc. Stół w domu jego ciotki był zastawiony. Czajnik z kawą stał na piecu, a częściowo zjedzona kolacja z ostatniej nocy, ciągle znajdowała się na stole.

Studnia była zatruta, miasteczko opuszczone w jednej chwili, a Steve wrócił z Ziemi do swojego domu, w którym spędził dzieciństwo –– za późno na cokolwiek.

Wyszedł na zewnątrz, na plac. Samotna jaszczurka wygrzewała się na słońcu, przypatrując mu się, pozbawionymi powiek oczyma. Kiedy ruszył przez plac, jaszczurka natychmiast uciekła.

– Ziemianinie! – rozległ się drżący głos.

Steve pobiegł w stronę jego źródła. W skąpym cieniu wioskowego centrum, odpoczywał Kumaji. Był to zasuszony stary człowiek, z ogromnymi oczyma w czerwonych obwódkach. Sama skóra i kości, pokryte sztywną od potu tuniką. Jego zwykle purpurowa cera, opalona przez bezlitosne słońce, była niemal czarna.

Steve przycisnął mu do warg manierkę i przyglądał się jak gardło tubylca, pracuje niemal spazmatycznie, aby pociągnąć wodę. Po chwili Steve odsunął manierkę i zapytał:

– Co się tutaj stało?

– Oni poszli sobie. Wszyscy odeszli.

– Tak, ale co się stało?

– Kumaji…

– Ty jesteś Kumaji.

– To jest moje miasto – odparł stary człowiek. – Ja żyłem razem z ludźmi. A teraz, oni odeszli.

– Ale ty zostałeś tutaj…

– Żeby umrzeć – stwierdził stary człowiek, bez użalania się nad sobą. – Jestem za stary żeby uciec, za stary żeby walczyć, za stary na cokolwiek, poza śmiercią. Więcej wody.

Steve dał mu kolejnego łyka.

– Ciągle mi nie powiedziałeś, co się tutaj stało. – Tak prawdę mówiąc, to Steve miał co do tego, pewne domysły. W dwudziestym drugim wieku, kiedy populacja Ziemi wzrosła do poziomu jedenastu miliardów ludzi, miejsca na kolonie poszukiwano niemal wszędzie. Nawet na spieczonych słońcem, pustynnych pustkowiach, takich jak tu. Plemiona Kumaji jednak, nigdy nie zaakceptowały kolonii, jako faktu wpływającego na ich życie na pustyni, i w pewnym sensie Steve nie mógł ich za to specjalnie winić. Oznaczało to jedną oazę mniej, do wykorzystania w ich koczowniczym życiu. Kiedy Steve był chłopcem, ataki Kumaji były częste. W szkole, na Ziemi i na Księżycu, czytał o kolejnych atakach, o wzrastającej ich bezwzględności. O tym, że ziemski rząd, umiejscowiony tak daleko i kompletnie niezdolny do ochrony swoich najodleglejszych kolonii, sugerował wycofanie się z osiedla na pustyni Kumaji, zwłaszcza, że kolonia mogła tam egzystować jedynie w najbardziej prymitywnych warunkach, na poziomie niemal takim, jak sami purpurowo-skórzy tubylcy Kumaji.

– Kiedy to się stało? – dopytywał się Steve.

– Ostatniej nocy. – Obecnie było wczesne popołudnie. – Trzech ludzi umarło – powiedział Kumaji w niemal doskonałym angielskim, – z powodu zatrucia studni. Studnia stanowiła ostatnią kroplę. Koloniści nie mieli wyboru. Musieli odejść, i to odejść szybko, zabierając ze sobą każdą kroplę wody, jaką mieli w domach.

– Czy chcą spróbować pokonać na piechotę całą drogę do Oasis City? – Oasis City zbudowane zostało w miejscu złączenia się dwóch podziemnych

rzek, które wypływały tam na powierzchnię i pokonywały po niej resztę drogi, do znajdującego się ponad ziemią morza. Miasto położone było w odległości niemal pięciuset mil od kolonii. Pięćset mil piaszczystymi bezdrożami, w temperaturze stu trzydziestu stopni…

– Muszą – odparł stary człowiek. – I to muszą się śpieszyć. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Ścigają ich Kumaji.

Na te słowa, Steve poczuł irracjonalną nienawiść. Pomyślał, że może rozwiązaniem byłoby, gdyby znalazł paru koczowniczych tubylców i ich pozabijał. Oczywiście, tak na chłodno, zdawał sobie sprawę, że może pomogłoby to jego urażonym uczuciom, ale z pewnością nie zmieniłoby to sytuacji uciekających kolonistów, przedzierających się przez spalone słońcem dzikie pustkowie –– aby znaleźć bezpieczeństwo w Oasis City –– albo śmierć.

– Chodź – powiedział Steve, podejmując decyzję. – Unikopter może unieść na styk dwie osoby.

– Polecisz za nimi?

– Muszę. To moi rodacy. Za długo byłem poza domem.

– Powiedz mi, ty jesteś młody Cantwell, co nie? Teraz sobie ciebie przypominam.

– Tak, jestem Steve Cantwell.

– Nigdzie nie lecę, młody przyjacielu.

– Ale nie możesz zostać tutaj, bez żadnej zdatnej do picia wody, bez…

– Zostaję – oznajmił stary człowiek, nadal bez żadnego użalania się nad sobą, a raczej rzeczowym tonem. – Ludzie z Ziemi nie mieli dla mnie miejsca, i nie mogę mieć o to do nich żalu. Sądzę, że Kumaji zabiją mnie jako renegata. Miałem dobre, długie życie. Nie mam żalu. Leć za swoimi rodakami, młody przyjacielu. Będą potrzebować każdego dodatkowego silnego ramienia, jakie uda im się pozyskać. Czy masz jakąś broń?

– Nie – odparł Steve.

– To niedobrze. No cóż, żegnaj i życzę ci szczęścia.

– Ale nie możesz…

– Och, zostaję i już. Chcę zostać. To jest mój dom. To jedyny dom, jaki miałem w życiu. Powodzenia, młody przyjacielu.

Powoli, Steve podszedł do swojego unikoptera. To był tylko mały metalowy dysk, na którym się stało, i wał zakończony trzema turbopłatami. Wyciągał zaledwie sześćdziesiąt mil na godzinę i mógł latać do wysokości dwóch tysięcy stóp.

Steve włączył turboodrzutowe silniczki niewielkiej maszyny, a następnie pod wpływem impulsu podbiegł do starego człowieka i oddał mu swoją manierkę, odwracając się, zanim tamten zdążył mu odmówić i podążając szybkim krokiem, z powrotem do unikoptera. Uniósł się w powietrze, nie oglądając się już na starego człowieka i opustoszałą wioskę.

Popłynęły za nim słowa starego człowieka:

– Powiedz ludziom… pośpiesz się… Kumaji podążają za nimi, żeby ich zabić… pustynny wiatr powinien zatrzeć ich ślady… ale pośpiesz się…

Jego głos roztopił się w lekko poświstującym szumie, gorącego pustynnego wiatru. Steve popatrzył na dół, na spieczone słońcem nagie skały, pomarszczone wydmy, mgiełkę unoszącego się pyłu. Zataczał coraz szersze kręgi, poszukując uciekających ludzi.

Kilka godzin później, w bezmiarach piasków i pustkowia, zauważył karawanę. Szybko sprowadził unikopter na dół, ze świstem powietrza i wyciem turboodrzutowych silniczków. Usiadł na piasku, w pewnej odległości przed czołem wolno poruszającej się kolumny. Przypominała widoki jakby żywcem wyjęte z ziemskiego Środkowego Wschodu –– i średniowiecza. Aby ułatwić sobie życie tutaj, na syriańskiej pustyni, ludzie zaimportowali nawet wielbłądy. Okazało się bowiem, że ziemski wielbłąd był lepszym zwierzęciem do dźwigania ładunków, niż wszystko cokolwiek mogły oferować pustynie Syriusza II. Wędrowali więc u boku wielkich, garbatych zwierząt jucznych, uginających się pod ciężarem stosów kołyszących się ładunków, mieszczących cały ich dobytek. Przedzierali się przez piaski z dręczącą powolnością. Już teraz, zaledwie po jednym dniu podróży, Steve widział, że niektórzy z ludzi byli znużeni, wyczerpani i musieli jechać na grzebiecie wielbłądów. Przebyli może jakieś piętnaście mil, z niemal pięciuset, które musieli pokonać przez rozpaloną pustynię, z depczącymi im po piętach Kumaji…

– Halo! – krzyknął Steve do podchodzącego do niego, niezdarnie stąpając po piasku, człowieka uzbrojonego w atokarabin. – Nazywam się Cantwell – powiedział do niego Steve. – Jestem jednym z was.

W twarzy zbliżającego się człowieka, widać było ponurą wrogość.

– Cantwell. Taaa, pamiętam cię. Kolonia nie była dostatecznie dobrym miejscem do życia, dla Steve’a Cantwella. O, nie. On musiał polecieć na Ziemię, żeby się uczyć. Co teraz tutaj robisz, z tym swoim fantazyjnym latadłem? Przyleciałeś krakać na naszej stypie?

Gorycz zaskoczyła Steve’a. Rozpoznał zbliżającego się mężczyznę. Był to Tobias Whiting, który w czasach, kiedy Steve był chłopcem, odnosił w Kolonii największe sukcesy. Pomijając zgorzknienie, oraz ponure samoużalanie i poczucie porażki, widoczne w jego oczach, lata obeszły się z Tobiasem Whitingiem łagodnie. Prawdopodobnie miał obecnie czterdzieści parę lat, jako że był mniej więcej dwadzieścia lat starszy od Steve’a, ale był dobrze zbudowany, miał zdrowe ciało i śmiały, silny krok. Był wielkim, muskularnym mężczyzną, o kanciastej, przystojnej twarzy. Przez te ostatnie dziesięć lat, niemal w ogóle się nie zmienił, podczas gdy Steve Cantwell, chłopiec, stał się Steve Cantwellem, mężczyzną. Był oficjalnym handlarzem Kolonii z Kumaji i na tym interesie mocno się wzbogacił –– przynajmniej w kategoriach standardów Kolonii. Teraz zaś, jak uświadomił sobie Steve, to wszystko było już za nim, i mógł jedynie uciec razem z pozostałymi –– a co za tym idzie, albo wrócić na straszliwie przeludnioną Ziemię, albo udać się w poszukiwaniu jakiejś nowej kolonii, na którejś z planet zewnętrznych, jeżeli uda mu się znaleźć transport. Być może to było wyjaśnieniem jego zgorzknienia.

– A więc, wróciłeś, co? Ale sobie wybrałeś czas, Cantwell.

Uciekinierzy ciągle jeszcze byli mniej więcej jedną czwartą mili od nich, zbliżając się bardzo powoli. Wydawało się niemal, że w ogóle się nie poruszają.

– Czy moja ciotka jest zdrowa? – spytał Steve. Była ona jedyną jego rodziną, jaką znał.

Tobias Whiting powoli pokręcił głową.

– Z najwyższą przykrością muszę ci to przekazać. Przygotuj się na wstrząs. Twoja ciotka była jedną z tych osób, które ostatniej nocy zmarły po wypiciu zatrutej wody.

Przez dłuższą chwilę, Steve milczał. Jedyne co czuł, to żal –– żal dla trudnego życia, jakie miała jego ciotka i równie ciężkiej śmierci. Smutek miał przyjść później, jeżeli w ogóle będzie czas na smutek.

W międzyczasie, dotarła do nich karawana. Pierwszą osobą, jaką zobaczył Steve, była dziewczyna. Miała na sobie podobne do całunu, pustynne ubranie, a jej twarz –– która w innych warunkach byłaby całkiem ładna, jak sobie zdał sprawę Steve –– pożłobiona była oznakami zmęczenia. Steve nie rozpoznawał jej.

– Kto to jest, tato? – spytała dziewczyna.

– Młody Cantwell. Pamiętasz go?

A więc, to była Mary Whiting. Pomyślał Steve. Jezu, przecież dziesięć lat temu, była jeszcze takim dzieciakiem! Ile mogła mieć wtedy lat? Pewnie z dziesięć. Upływ czasu nagle spoczął na nim brzemieniem. Dzisiaj była już kobietą…

– Steve Cantwell? – powiedziała Mary. – Oczywiście, że pamiętam. Cześć, Steve. Bardzo… bardzo mi przykro, że wróciłeś do nas w tak ciężkich czasach. Jeżeli jest coś, co mogłabym zrobić…

Steve pokręcił głową, a potem uścisnął dłoń, którą do niego wyciągnęła. Była szczupłą, ale silną dziewczyną, o pewnym uścisku ręki. Jej troska o niego, w takich trudnych chwilach, była trochę zadziwiająca, zwłaszcza, że była absolutnie szczera.

Docenił to.

Tobias Whiting stwierdził:

– Najgorsze w tej sytuacji jest, że niektórzy z nas, mogliby całkiem dobrze dogadać się z Kumaji. Ja miałem tutaj niezły biznes, przecież wiesz. – Spojrzał z goryczą na grupę zakurzonych uciekinierów. – Ale nigdy nie miałem z tego dużych dochodów. Gdziekolwiek nas teraz zaniesie, ja i moja dziewczynka, znowu będziemy biedakami. A moglibyśmy być bogaci.

– A co się stało z pańskimi zyskami? – spytał go Steve.

– Związałem się z lichwiarzem Kumaji, ale dzięki temu, co się stało, pewnie nigdy go już nie zobaczę.

Mary skrzywiła się, jakby słowa jej ojca i jego użalanie się nad samym sobą, było dla niej czymś bardzo bolesnym. Potem podeszli inni i kilka kolejnych minut zeszło na poklepywaniu się po plecach i uściskach rąk, kiedy niektórzy z mężczyzn, znających się ze Stevem jako chłopcy, zostali

przez niego rozpoznani i rozpoznawali jego. Ich powitania były równie gorące, jak Tobiasa Whitinga chłodne. Pomimo świadomości całej sytuacji, która ciążyła nad nimi wszystkimi, tego co zostało za nimi i tego co ich jeszcze czeka, poczuł się trochę, jakby wrócił do domu.

Ale Steve'owi najbardziej ze wszystkiego, przypadł do gustu, ciepły i przyjazny uśmiech Mary Whiting. Był pocieszający i uspokajający.

Trzy dni później, Tobias Whiting zniknął.

Karawana pokonywała nie więcej niż piętnaście mil dziennie. Ich zapasy wody niemal już się skończyły, ale czwartego dnia mieli nadzieję dotrzeć do oazy na pustyni. Dwoje starszych osób zmarło z trudów. Trzecia osoba, mężczyzna, była krytycznie chora, i niewiele mogli dla niej zrobić. Zaczęły kurczyć się zapasy żywności, ale zawsze mogli zarżnąć swoje wielbłądy i pokonać dalszą drogę do Oasis City, do którego nadal było jeszcze jakieś czterysta kilkadziesiąt mil, wyłącznie z ubraniami, jakie mieli na grzbiecie.

I wtedy właśnie, czwartej nocy, Tobias Whiting zniknął, zabierając unikopter Steve'a. Wartownik słyszał w nocy cichy, przytłumiony jęk silniczków turboodrzutowych i widział jak niewielki pojazd startuje, ale założył, że to Steve poleciał nim z jakiegoś powodu. Steve robił to codziennie, wykonując rekonesanse w poszukiwaniu śladów Kumaji.

– Ale dlaczego? – ktoś zapytał. – Dlaczego?

Początkowo na te słowa nie padła żadna odpowiedź. Potem jednak, jedna z kobiet, której mąż umarł poprzedniej nocy, oświadczyła:

– Nie jest żadną tajemnicą, że Whiting miał mnóstwo pieniędzy –– u Kumaji.

Nikt z nich, nawet nie spojrzał na Mary. Stała tam, z wyzywającą miną, nic nie mówiąc i Steve ścisnął ją pokrzepiająco za dłoń.

– No nie, zaraz… – powiedział jeden z przyjaciół Whitinga.

– Żadne zaraz. – To odezwał się Jeremy Gort, który dwukrotnie był burmistrzem kolonii. – Ja wiem, jak pracuje umysł Whitinga. Harował przez całe swoje życie, dla zdobycia tych pieniędzy, w taki sposób to widzi. Cantwell, czy nie mówiłeś, że Kumaji szukali karawany, żeby nas pozabijać?

– Tak mi właśnie powiedziano, panie Gort – potwierdził Steve.

– No, dobrze – Gort niemiłosiernie dalej drążył sprawę. – A więc, jak mi się wydaje, tak właśnie musiało to być. Whiting zaczął dumać nad swoją utraconą fortuną, i w końcu zdecydował, że musi ją odzyskać. W tym celu odleciał w nocy kopterem Cantwella, zdeterminowany, żeby tego dokonać. Tylko, ludzie, wbijcie sobie do głowy, że o ile znam Kumaji, to oni mu nie oddadzą pieniędzy, tak po prostu –– na piękne oczy.

– Nie? – Spytał ktoś z tłumu.

– Nie, drogi panie. Oni będą chcieli te pieniądze przehandlować. Za informację o miejscu, gdzie jesteśmy. A jeżeli Whiting odleciał w taki sposób, nie mówiąc do widzenia, nawet swojej córce, to sądzę, że jest

zdecydowany przystać na tą cenę. – W jego głosie zabrzmiała spora porcja goryczy.

Mary podeszła do Gorta i uderzyła go w policzek. Starszy człowiek, nawet nie mrugnął.

– No cóż – spytał ją łagodnie, – czy twój tata powiedział ci, że leci?

– N…nie – odparła Mary. W jej oczach widać było łzy, ale nie rozpłakała się.

Gort zwrócił się do Steve'a:

– Cantwell, czy on może, zalecieć tym kopterem, gdzieś daleko?

Steve pokręcił przecząco głową.

– Dziesięć, może piętnaście mil, to wszystko. Niemal nie ma już paliwa, panie Gort. Widział pan przecież, że wylatywałem nim codziennie tylko na krótkie, milowe obloty. Z pewnością za daleko nie poleci.

– Rozbije się na pustyni?

– Rozbije się, albo będzie miał twarde lądowanie – odparł Steve.

Mary zaszlochała, ale zagryzła wargi i umilkła.

– Musimy go powstrzymać – stwierdził Gort. – I to szybko. Jeżeli dostanie się do Kumaji, wyślą za nami oddział wojowników i będziemy skończeni. Nigdy nie uda nam się ich odeprzeć, bez dodatkowej ochrony, jaką dawała nam nasza wioska. Najbliżej nas, o ile dobrze liczę, znajduje się baza Kumaji, położona pięćdziesiąt mil na północ. Whiting również o tym wie, a więc myślę, że tam właśnie się uda. Na jego poszukiwania, nie możemy poświęcić więcej niż paru ludzi, na wypadek, gdyby Kumaji nas znaleźli –– albo zostali do nas doprowadzeni –– i zaatakowali.

Steve oświadczył:

– Powinienem na noc wyjmować z koptera jakąś część, tak żeby nikt nie mógł nim wystartować. Ja pójdę.

Mary śmiało zrobiła krok naprzód.

– Ja muszę pójść. To mój ojciec. Jeżeli on gdzieś tam się rozbił, może być ranny. Być może leży… umierający.

Gort zmierzył ją wzrokiem.

– A co, jeżeli on próbuje sprzedać nas Kumaji?

– Wtedy… wtedy zrobię wszystko, o co poprosi mnie Steve. Obiecuję.

– To mi całkowicie wystarczy – powiedział Steve.

Kilka minut później, uzbrojeni w atokarabiny, ze swoimi przydziałami jedzenia i pozostałej jeszcze wody, Steve i Mary udali się przez piaski na północ, podczas gdy karawana kontynuowała marsz na wschód. Obawa przed tym, co mogli znaleźć, narastała.

Pierwszej nocy obozowali osłonięci przed wiatrem przez niskie wydmy piaskowe. Drugiej nocy znaleźli małe źródło, ze słonawą, ale nadającą się do picia wodą. Trzeciego dnia, po pokonaniu połowy odległości do osiedla Kumaji, zaczęli napotykać ich patrole, piesze albo na *thlotbackach*, sześcionogich pustynnych zwierzętach, biegających po piasku tak szybko i

tak nisko nad jego powierzchnią, że wydawały się po nim ślizgać. Steve i Mary niemal nic do siebie nie mówili. Rozmowy były niepotrzebne. Powoli jednak narastała między nimi więź. Steve polubił tę szczupłą, cichą dziewczynę, która wyruszyła z nim, ryzykując życie, chociaż w głębi serca musiała wiedzieć, że jej ojciec, niemal na pewno zdecydował się popełnić zdradę, w celu odzyskania swojej fortuny.

Czwartego dnia, zauważyli z daleka unikopter i wyruszyli w jego kierunku. Zaleciał znacznie dalej, niż spodziewał się Steve. Ze skurczonym sercem, uświadomił sobie, że jeśli Tobias Whiting wyszedł z awaryjnego lądowania bez większych obrażeń, to do tej pory, musiał już z pewnością dotrzeć do osiedla Kumaji.

– Nie wydaje się być za bardzo uszkodzony – zauważyła Mary.

Platforma była nieco wykrzywiona, cały kopter spoczywał przekrzywiony pod kątem, a jeden z wirników był skręcony i jego koniec wbił się w piach. Tobiasa Whitinga, nie było nigdzie widać.

– Nie – potwierdził Steve. – W ogóle jest tylko lekko uszkodzony. Twój ojciec z pewnością wyszedł z tego bez szwanku.

– Żeby pójść… do nich?

– Tak myślę, Mary. Nie chcę jednak ferować ostatecznego wyroku, dopóki nie będziemy pewni. Bardzo mi przykro.

– Och, Steve! Steve! Co my teraz zrobimy? Co w ogóle *możemy* zrobić.

– Musimy go znaleźć, jeżeli nie jest już za późno. Chodźmy.

– Na północ?

– Na północ.

– A jeżeli jakimś cudem uda nam się go znaleźć?

Steve nic jej nie odpowiedział. Zresztą odpowiedź –– złapać go lub zabić –– była oczywista. Ale przecież nie można tego powiedzieć córce zdrajcy, co nie?

Okazało się, że Tobiasa Whitinga udało im się odnaleźć, nie do końca dzięki własnym wysiłkom. Pół godziny po odejściu od unikoptera, zostali zauważeni przez wędrującą grupę Kumaji, którzy natychmiast rzucili się w ich kierunku na swoich *thlotach*. Mary uniosła atokarabin, ale Steve odepchnął jego lufę na bok.

– Zabiliby nas – powiedział. – Nie mamy innego wyjścia, jak tylko się poddać.

Związano ich i pogoniono w bólach poprzez piaski. W ten sposób zostali zabrani do małego obozowiska Kumaji i wepchnięci do okrągłego namiotu.

W środku był Tobias Whiting.

– **M**ary! – zawołał. – Mój Boże, Mary…

– Przybyliśmy do ciebie, tato – zimno oznajmiła. – Żeby cię powstrzymać. Żeby… zabić cię, jeśli to będzie konieczne.

– Mary…

– Och, tato, dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego?

– Przecież nie moglibyśmy zaczynać wszystkiego od początku, nieprawda? Masz prawo, żeby żyć takim życiem, jakie dla ciebie planowałem. Ty…

– Whiting – powiedział Steve, – czy coś im już powiedziałeś?

– Nie. Jeszcze nie. Pewnie, że mam informacje na sprzedaż. Ale chcę się upewnić, że przekazuję je odpowiednim ludziom. Chcę odzyskać nasze…

– Tato! Nasze pieniądze, za wszystkie te życia ludzkie?

– Teraz, to już nie ma znaczenia. Ja… zmieniłem zdanie, Mary. Naprawdę. Ale w tej sytuacji, kiedy ty jesteś ich więźniem, co się stanie jeżeli nie będę mówił? Czy nie rozumiesz, że oni zaczną cię torturować? Zmuszą cię do mówienia. A w ten sposób, niczego nie dostaniemy. Nie mógłbym wytrzymać patrząc, jak oni cię krzywdzą.

– Oni mogą sobie robić wszystko co tylko chcą. I tak im niczego nie powiem.

– Nie będziesz musiała – powiedział Whiting. – Ja im powiem wszystko, kiedy tylko dotrzemy do większej osady. Mówili mi, że zabiorą nas tam jutro.

– A więc, musimy uciec dzisiejszej nocy – stwierdził Steve.

Nisko wiszące słońce, rzucało cień strażnika, na skórę *thlota*, stanowiącą ścianę ich namiotu. Pilnował ich tylko jeden człowiek, uzbrojony w długą, podobną do piki broń. Kiedy nadejdzie mrok, jeżeli ich straże nie zostaną wzmocnione…

Na kolację przyniesiono im ziemistą breję, którą wmusili w siebie w milczeniu i z dużym wysiłkiem. Zjedli ją, ponieważ wiedzieli, że będą potrzebowali sił. Mary próbowała ponownie przekonać ojca:

– Tato, nie chcę, żebyś im cokolwiek mówił. Tato, proszę. Jeżeli myślisz, że robisz to dla mnie…

– Podjąłem już decyzję – odparł Tobias Whiting.

Zrozpaczona Mary zwróciła się do Steve'a.

– Steve – prosiła go. – Steve. Zrób to, co musisz zrobić. Ja… ja to zrozumiem.

Steve nic jej nie odpowiedział. Czy Whiting w tej sytuacji nie miał racji? pomyślał sobie. Jeżeli Steve go uciszy, czy Kumaji nie będą ich torturować dla zdobycia informacji? Być może Steve byłby w stanie to wytrzymać… ale z pewnością nie wytrzyma widoku krzywdzonej Mary. Jeżeli to zrobią, będzie mówił…

A więc, uciszenie Whitinga, nie było rozwiązaniem. Ale Kumaji mają jednego dobrowolnego i dwójkę niechętnych więźniów. Dobrze o tym wiedzieli. Jeżeli ten dobrowolny zawoła o pomoc, ale to wołanie zostanie ograniczone do minimum, to w odpowiedzi na nie, pojawi się tylko jeden wartownik, ten człowiek pod namiotem…

Ciemność w obozowisku Kumaji.

W oddali, jakiś tubylec skandował, monotonnym zaśpiewem, starym jak sama pustynia.

– Czy śpisz? – spytała Mary.

– Nie – odpowiedział jej Steve.

– Tata śpi. Posłuchaj, w jaki sposób oddycha –– jak dziecko. Tak jakby… jakby nie miał zamiaru zdradzić wszystkich naszych sąsiadów. Och, nienawidzę go, nienawidzę!

Steve podczołgał się do miejsca, w którym spał starszy mężczyzna. Głos Tobiasa Whitinga, go zupełnie zaskoczył.

– Nie śpię. Myślałem. Ja…

– Mam zamiar teraz cię zabić – powiedział przyciszonym głosem Steve i skoczył na Whitinga. Zrobił to jednak po krótkiej przerwie. Było to skalkulowane opóźnienie i Whiting krzyknął, tak jak Steve miał nadzieję, że zrobi. Potem jego palce odnalazły gardło starszego mężczyzny i zacisnęły się na nim –– nie żeby go zabić, ale by go powstrzymać od ponownego krzyku.

Zaszurał piasek, klapa namiotu uniosła się i do środka wbiegła potężna postać. Steve zerwał się na nogi i wyskoczył jej naprzeciw, czując wstrząs zderzenia ich ciał. Pika uniosła się ledwie widoczna w ciemności, a jej ostrze przejechało mu po żebrach, kiedy wartownik niezgrabnie nią pchnął. Palce Steve'a szukały grubo umięśnionej szyi, schwyciły ją –– zaciskając się mocno.

Strażnik skręcał się i szarpał. Jego stopy kopały w piasku. Jedną ręką, dźgał na oślep, nieporęczną piką. Rozległ się krzyk Mary, a strażnikowi udało się wydać tylko przyciszone skrzeczące sapnięcie. Na zewnątrz, reszta obozowiska zdawała się być nieświadoma tego, co się dzieje. Silnie zaciskające się palce Steve'a, niosły śmierć. Ktoś musiał tutaj umrzeć. Albo strażnik Kumaji, albo uciekający Ziemianie, którzy utracili właśnie swoją kolonię i musieli szukać innej.

Upadli razem na piasek, strażnik nadal jeszcze walczył. Steve nie mógł puścić jego gardła, żeby złapać za pikę. Duszący się strażnik dźgał nią bezładnie, zupełnie na ślepo, kopiąc nogami w piasku. W pewnej chwili Tobias Whiting zaczął jęczeć, ale Steve w ferworze walki ledwie słyszał jego głos.

Kiedy nogi strażnika przestały kopać, Steve go puścił. Mężczyzna był albo martwy, albo tak bliski śmierci, że nie będzie w stanie wydostać się z namiotu, przez parę godzin. Steve nigdy jeszcze nie zabił człowieka. Po raz pierwszy w życiu musiał użyć przemocy żeby tak brutalnie zaatakować człowieka i go zabić.

– Steve!

To Mary, wykrzyczała szeptem jego imię i płakała.

– Tata. Tata został… trafiony. Pika, silne pchnięcie. Paskudnie dostał…

Steve podczołgał się do nich. Było bardzo ciemno. Z trudem mógł dostrzec wykrzywioną przez ból twarz Tobiasa Whitinga.

– Mój brzuch – wysapał Whiting, ciężko łapiąc oddech. – Boli…

Steve zaczął macać go rękoma, znalazł ranę. Mocno krwawiła. Nie był w stanie zatamować krwawienia, i dobrze to wiedział. Myślał, że Whiting

również zdawał sobie z tego sprawę. Dotknął dłoni Mary i przytrzymał ją za nią. Mary szlochała przyciszonym głosem, oparta o jego ramię.

– Wy dwoje… – Whiting złapał oddech, – Wy dwoje… Mary, posłuchaj. Czy… on… jest tym, czego chcesz?

– Tak, tato. O, tak!

– Dasz radę ją stąd wydostać, Cantwell?

– Myślę, że tak – odparł Steve.

– A więc uciekajcie. Uciekajcie, dopóki jeszcze możecie. Ja im powiem… jedźcie na południe. Ziemianie kierują się na południe. Oni wyruszą za nimi… na południe. Nie znajdą karawany. Wszyscy… bezpiecznie… uciekniecie. Jeżeli to jest… czego pragniesz, Mary.

Odsunęła się od Steve’a, całując ojca. Spytała Steve’a:

– Czy jest coś, co możemy dla niego zrobić?

Steve pokręcił przecząco głową i dodał:

– Ale musi przeżyć na tyle długo, żeby im to powiedzieć, żeby ich oszukać.

– Wytrzymam wystarczająco długo – powiedział Whiting i Steve wiedział, że tak będzie. – Życzenia szczęścia dla… was wszystkich. Od… bardzo głupiego… człowieka…

Steve złapał Mary za rękę i pociągnął ją za sobą w gorącą, ciemną, wietrzną noc. Zabrał pikę zabitego Kumaji, i przemknęli się razem po piasku, do miejsca gdzie zapędzano na noc *thloty*. Niewiele pamiętał z reszty tej nocy. Nadal wypełniała ją przemoc i śmierć, ale śmierć niezbędna. Zabił piką wartownika i rozpętał jednego z *thlotów*. Zwierzę głośno zaskrzeczało i z nocnego mroku pojawiło się dwóch zaspanych Kumaji, którzy przyszli zobaczyć, co się stało. Długim ostrzem piki ściął jednemu z nich głowę. Drugiego uderzył rękojeścią broni w twarz, prawdopodobnie łamiąc mu szczękę. Cały obóz ogarnęło zamieszanie. W ciemnościach wrzucił Mary na nagi grzbiet, stojącego przed nim *thlota*, i odjechali nim przez piaski.

Pościg był zdezorganizowany i skończył się niepowodzeniem. Było za ciemno na skuteczną pogoń, zresztą dokładnie tak jak miał nadzieję Steve. Jechali szybko przez całą noc i kontynuowali jazdę świtem. Mogli odjechać w dowolnym kierunku. Niesiony przez wiatr piasek, powinien zatrzeć ich ślady.

Dwa dni później dotarli już w pobliże karawany. W trakcie jazdy, Mary spytała go:

– Steve, czy musisz im o wszystkim powiedzieć?

– Możemy im powiedzieć tak – odparł Steve. – Twój ojciec zginął śmiercią bohatera, wysyłając Kumaji w złym kierunku.

– A nie… nie to co z początku planował?

– Nie. Powiemy ich, że przez cały czas miał szlachetne zamiary. Przecież człowiek może się pomylić, co nie?

– Kocham cię, Steve. Kocham cię.

Potem wjechali do obozowiska karawany. Jakoś, Steve był pewien, że bezpiecznie dotrą do Oasis City.

Z Mary u boku, mógł sobie znaleźć jakąś nową planetę w bezmiarach kosmosu.

KONIEC